Rozmaitości

Dnia 22. grudnia **N^er. 51.** 1832 roku.

TWIERDZA FESCHAMP.

— Obraz historyczny. —

(Ciąg dalszy.)

Mów dalej — przerwał Rosny ciszę, zamieniwszy w łagodny uśmiech wzrok ponury, którym zwykle patrzał na przyszłą księżnę Beaufort. — »Hanusia, za pozwoleniem Pani i Waszej Król. Mości,« mówił dalej Boisrosé, »dała się wkrótce do naszego planu namówić, i zaraz tego samego dnia z koszykiem kwiatów i świeżych jaj poszła do twierdzy.«

»Poselstwo jej zostało najlepszym uwieńczone skutkiem. Powróciwszy wieczorem, z niemałym tryumfem opowiadała nam, że łatwo jej było uprzejmym datkiem z koszyka, a może jeszcze i za pomocą innych przymiotów, któremi się, jako darem bożym, chełpić nie chciała, zyskać pozwolenie wnijścia do fortecy, i że o strażach tamtejszych wszelkiego koloru tylko dobrze i mile mówić może. Przybywszy do miasta, zaraz kazała pokazać sobie drogę do pomieszkania pana Bellegarde, do którego zaraz trafiła, a jaja jej mile były w kuchni pa. Bellegard przyjęte i dobrze zapłacone. Lecz gdy sługa obaczyła nadto kwiaty w koszyku, jeszcze się więcej z tego ucieszyła i zaraz powiedziała, że panna musi je kupić, ponieważ szalenie lubi kwiaty i mały swój pokoik codzień świeżémi i piękniejszémi zdobi. Hanusia na to odpowiedziała, że chce widzieć pannę i sama zanieść jéj kwiaty, na co służąca chętnie zezwoliła, Wszedłszy do pokoju, zastała piękną pannę klęczącą przed małym stolikiem, który zdawał się do ubiérania być przeznaczony, ponieważ na nim stało maleńkie źwierciadło stołowe; lecz za tém wisiał na murze obraz Matki Bozkiéj z dziesiątkiem Jezus w pysznych złotych ramach, a przed obrazem stało piękne złote naczynie, wktórem była wysoka gałązka kwitnącej lilii, istny wizerunek pięknej klęczącej. Lecz ta zanurzona była tak głęboko w myślach — czyli o niebiańskim obrazie przed sobą, czyli o ziemskim w sobie, o tém nie chciała sądzić Hanusia — że wcale nie uważała, iż ktoś wszedł do pokoju, i Hanusia, do woli przypatrzyć się mogła pięknej, melancholicznej dziewicy. Aż dopiéro, gdy Hanusia szméru narobiła, zerwała się panna i postąpiła ku niej mile i łagodnie, z rękami na piersiach na krzyż jeszcze złożonémi, lecz trochę smutna i w przeszłych wspomnieniach pogrążona. Wnet jednak wypogodziło się zasłonione łzą wstrzymaną oko, kiedy Hanusia, widząc się nieuważaną, oddała Kamilli ode mnie list, który, gdy przeczytała, najżywsze promienie radości rozlały się po wszystkich rysach twarzy pięknéj dziewicy, tak, że miłość, nadzieja i wdzięczność, jak prawdziwe bóztwa, przed nią stanęły i ten piękny widok na zawsze w pamięć jéj wrażiły. W jednéj chwili napisała odpowiedź w kilku tylko słowach, bojąc się, aby jéj nie przeszkodzono; oddała ją Hanusi z serdecznem ucałowaniem, pytając ją nagle i rozmaicie o mnie; wyjęła kwiatki z koszyka,

)(

które całowała i pieściła, a gdy właśnie chciała najpiękniéjszą różę zatknąć przy lilii przed obrazem Matki Bozkiéj, zawołana trochę surowym głosem ojca, ledwo mogła rzucić jeszcze na nię okiem, lecz wymówniéjszem nad wszystkie przeszłe słowa.«

»Wasza król. mość możesz sobie łatwo wyobrazić, z jakiém uniesieniem słuchałem tego opowiadania, z jakim pośpiechem otworzyłem i czytałem drogi list, i jak kilka tych, pobieżnie rzuconych wyrazów, daleko mocniéjsze zrobiły na mnie wrażenie, niżeli grube tomy słów czarownych.«

»Jeszcze téj saméj nocy pokazaliśmy nasze znaki pod twierdzą, i tą razą dwoma latarniami, aby ostrédz Kamillę, że czas już czynić przygotowania. Jakaż była radość nasza, gdy w chwili potém postrzegliśmy na górze światełko, które nam jaśniéj od najpromieńniéjszéj gwiazdy świéciło. Nie wiém dla czego zdawało się oddalenie, owém światełkiem wskazane, daleko większém, jak przed tém. Może w tém była przyczyna, że wyobraźnia nasza, w milczeniu, tę gwiazdę nadziei naszéj porównywała z gwiazdami na niebie; patrząc albowiem na ten świetny klejnot w koronie nocy, zdawało się nam istotnie, jakobyśmy postanowili piąć się prosto do nieba. Po mimowolnych poruszeniach mego towarzysza, i po głosie jego nadto pomiarkowałem, że go jakaś tajemna dreszcz przejmuje; przecież umiał jeszcze mężnie opanować wewnętrzne swoje poruszenie, i gdyśmy do domu sterowali, z tą samą odwagą, jak zwykle, rozmawialiśmy o swojém przedsięwzięciu.«

»Nazajutrz rano rozstaliśmy się. André popłynął do Dieppe, ją zaś, schroniwszy statek swój, bez grosza w kieszeni, popłynąłem na innym okręcie, jako prosty majtek, do Bordeaux. Co się potém ze mną stało, nie ma blizkiego związku z atakiem twierdzy, lecz, ponieważ się już rozgadałem, może Wasza Król. Mość zechcesz posłuchać i o przygodach moich na morzu?«

»Nie, broń Boże!« przerwała Gabriela.

»Słucham więc rozkazu Pani. — Dnia umówionego zeszliśmy się znowu, ja i moi towarzysze, podług danego sobie słowa. W zwerbowaniu rekrutów tak szczęśliwie nam się powiodło, żeśmy już mieli pięciudziesiąt ludzi, i teraz potrzeba tylko było, nie tracąc czasu, przystąpić do dzieła. Hufiec nasz złożony był z samych zuchów, jakich, co do siły i wytrwałości, mało znajdzie w Europie. Po ich ciemno-czerwonych licach widać było, że przywykli do wiatru, słoty i powietrza morskiego. Oczy ich były małe, bystre i żywe. Wszyscy byli mniéj trochę, jak średniego wzrostu, i naprzód pochyleni: znać, że przywykli tęgo i rączo brać się do dzieła. Były prawda pomiędzy nimi i wyjątki i do tych należał André. Był ón raczéj smukły i rosły, niżeli mocnéj budowy ciała, tak że w porównaniu ze wszystkimi innymi zdawało się, iż jak topola w górę wystrzelił. Dla jego szczérości i zuchwałości obrałem go sobie za porucznika, a w jego wielkich oczach błyszczał jakiś zapał, który mu właśnie nadawał piętno człowieka, do takiego przedsięwzięcia sposobnego. Oprócz tego André mógł myśli moje pojąć i zrozumiéć, a ten przymiot, jak Wasza Król. Mość sam osądzisz, nie małéj jest ceny. Ogólnie mówiąc: jestto rzecz wyborna, miéć koło siebie ludzi, umiejących dobrze wykonać dane sobie z roztropnością zlecenie, lecz dla naczelnika przedsięwzięcia hazardowanego nieoceniony jest towarzysz, umiejący wchodzić w jego czucie, w którym jedno skinienie, jedno słówko rodzi mnóstwo zgodnych myśli. Takim towarzyszem był André.«

»Dawszy sobie na wzajem z czujnym aniołem moim Kamillą, która zawsze wiernie znajdowała się na swojém stanowisku, kilka jeszcze znaków, przeznaczyliśmy jednę z następujących nocy do wykonania naszego przedsięwzięcia. Noc ta nareszcie nadeszła.«

»Od niejakiego czasu pogoda we dni była pochmurna, a w nocy burzliwa. Księżyc był w nowiu, a niebo obłokami okryte, które lubo od wiatru były pędzone i rozdzierane, nie mogła jednak przez nie żadna przejrzéć gwiazdeczka. Ciężkie, prawie niezłamane bałwany morskie tłukły się o brzeg, lubo białą pianę we wrzeniu morza wyraźnie było widać. Wsiedliśmy na statek prawie o milę ode wsi. Każdy miał na sobie

przyłbicę i koszulę pancérną, a przy sobie swoję broń zaczepną: miecz, puinał i berdysz, mocno do ciała przypasane.«

»Nim się pod skałę dostaliśmy, wiatr wzmógł się tak mocno, że niebezpiecznie było nadto się do niéj przybliżać. Światło nasze łatwo mogło obudzić uwagę i spłoszyć załogę, gdyby je była postrzegła; a przecież nie mogliśmy się inaczéj porozumiéć. Ludzi moich najbardziéj przerażała trwoga, pochodząca jedynie z szumu łamiących się o skały bałwanów morskich. Daléj na morzu szum ten wydawałby się był dosyć jeszcze okropnym; lecz marynarz byłby wtenczas wiedział, zkąd pochodzi, gdy rzecz ta do jego rzemiosła należy. Lecz gdyśmy bardzo blizko byli miejsca, gdzie się bałwany kruszyły, szum, prosto w uszy bijący, tak ogłuszał, że sobie ledwo wystawić można. Z otchłani i rozpadlin jaskini wychodziły bardzo często brzmienia, do głosów ludzkich podobne, właściwie jednak tyle się od tych różniące, że słyszącemu je włosy do góry powstawały.«

»Jestem przekonany, że ani jednego między nami nie było, któryby takiego samego nie doznał uczucia, lecz równie wiém z pewnością, że gdyby mój porucznik nie był się nieroztropnie z tym wydał, wszyscybyśmy nadto byli się wstydzili tego uczucia, i żaden z nas, samém milczeniem, nie dałby był drugiemu powodu do myślenia czegoś podobnego. Gdyśmy najprzód popłynęli pod skały i wiosła nasze zapuścili głęboko w wodę, aby łódź nie tak szybko za prądem leciała, André usłyszawszy raptem wycie bałwanów, przerażony tym piekielnym szumem, zawołał: »Dla Boga! co to takiego?« a my, którzy także tylko powodu szukaliśmy, aby uszu nadstawić, zupełnie to samo uczyniliśmy, tak, że spory czas upłynął, nim pomyśleliśmy o wywieszeniu na maszcie latarni. Z tém wszystkiém André przecież najpiérwszy się opamiętał i usilném, wesołém szeptaniem wiele się przyczynił do ożywienia w innych na nowo odwagi. Chociaż bowiem odległość nasza od twierdzy na górze bardzo była znaczna, mniemaliśmy jednak, że niebezpiecznie głośno gadać. Tymczasem w głębokim wysokich skał cieniu tak się zciemniło, że ledwo jeden drugiego poznać mogliśmy i wyższéj części skały wcale prawie nie było widać. Wiatr trochę się obrócił, lecz zawsze dla nas gorzéj, i coraz się wzmagał, aż nakoniec gwałtownie wiać zaczął od strony północno-zachodniéj.«

»Skrzesawszy ognia zaświeciliśmy lampę, i kazaliśmy ją na wielkim maszcie wywiesić. Przy jéj świetle mogliśmy chwilę patrzéć jeden drugiemu w oczy; lecz gdy się wyżéj po nad naszémi głowami wzniesła, światło jéj zniknęło dla nas w otaczającéj nas ciemności. Nie oświécała nawet ściany skały, która w téj chwili najstraszniéjszym była naszym nieprzyjacielem. Wszystkich oczy zwróciły się teraz do góry. Lecz wierzchołku zupełnie nie było widać; my więc przez niejaki czas całe byliśmy niepewni, czyli ujrzymy znak, któregośmy ztamtąd wyglądali.«

»Zajaśniała nakoniec, śród otaczających nas ciemności, gwiazda naszego losu. Nigdy nie zapomnę głosów, które na to nagłe zjawisko mimowolnie się dobyły z serc moich towarzyszy. Światło zdawało się na samém niebie zawieszone, gdy tymczasem nami burza miotała po powierzchni morza. Przypadkiem w téj saméj chwili burza zwolniała, i przekonany jestem, że pomimo plusk wody, najcichsze westchnienie nasze byłoby słychać z jednego kąta okrętu do drugiego.«

»Wywiesiliśmy drugą i trzecią latarnię, lecz z góry wciąż jeszcze jeden tylko znak błyszczał. Spodziéwając się na każde wezwanie odpowiedzi, byłem tém zmieszany; a lubo nie dałem bynajmniéj po sobie tego poznać; z początku jednak mocno byłem przekonany, że właśnie coś zajść musiało, co spuszczenie liny przeszkodziło. Lecz zkądże mogłem wiedziéć, że lina jeszcze nie spuszczona? Gdy myśl ta nagle przeleciała mi przez głowę, zimny pot trwogi na mnie wystąpił. A chociażby tak cienka lina pięćdziesiąt razy była grubsza; ledwobyśmy mogli dostrzedz jéj w téj zupełnéj ciemności.«

»Lecz droga moja Kamilla wnet naprawiła mój obłęd. W kilka minut zaczęła

spuszczać się na dół gwiazda, którąśmy wgórze widzieli. Miotana wiatrem, to w tę to w ową stronę latała, aż nareszcie dosięgła powierzchni wody. Z niebezpieczeństwem dla statku, a z większém jeszcze dla naszego życia, zbliżyliśmy się do niej. Nareszcie, ku wielkiéj radości, uchwyciliśmy upragnioną linę.«

»Przywiązaliśmy do niej natychmiast koniec naszéj liny kotwicznéj. Do spuszczonéj liny były wpoprzek poprzywiązywane wałeczki drewniane, mające służyć niby za szczeble drabiny. Całą linę troskliwieśmy zwinęli i wolno w łodzi złożyli, aby ją tém łatwiéj można było rozwijać. Tył i burtnica statku były jak naszpikowane ludźmi, cisnącymi się tam ze środka, żeśmy ledwie wiosłami władać mogli, aby się w swojém położeniu na wodzie utrzymać; a gdy z każdą chwilą wiatr się wzmagał, a wały morskie coraz wyżéj i mocniéj o skałę się tłukły, pora dla nas nader była krytyczną.«

»Nakoniec lina zaczęła podnosić się w górę, a z serca mego spadł ciężki kamień; lecz się obawiałem, żeby Kamilli do tego przedsięwzięcia sił nie zabrakło; jakoż obawa moja byłaby się ziściła, gdyby nie była windy użyła, która dla wyciągania potrzebnych do naprawy murów kamieni właśnie tam się znajdowała. Wiedziałem, że nikt jéj w tém miejscu nieprzeszkodzi, ponieważ w dzień wcale nikt téj części twierdzy nie zwiedza, a załoga chyba ataku orłów z téj strony obawiać się mogła. Od chwili zatém, jak lina wgórę wznosić się zaczęła, zupełnie byłem spokojny, i szepcąc moim towarzyszom rozkazy, rychło urządziliśmy jeszcze na statku wszystko, co do naszego zamiaru było potrzebne.«

Dla ułatwienia pracy naszéj przyjaciółce, część dostatecznie długą naszéj liny rzuciliśmy na wodę, sami zaś oddaliliśmy się nieco od skały dla zarzucenia kotwicy. W położeniu zwyczajném kotwica byłaby dosyć ciężka dla utrzymania większego nawet okrętu, lecz w tém miejscu grunt właśnie był zły, wiatr był mocny, a morze wzdymało i burzyło się ze wściekłością. Bałwany tłukąc się ustawicznie o skały, wydawały huk jakby z armat, i łamały się po nad naszémi głowami, że powietrze, którém oddychaliśmy, pełne było piany.«

»W tym stanie zostawaliśmy przez całą godzinę, nimeśmy postrzegli, że lina całkiem prawie wyciągniona była do góry. Nareszcie całkiem przestała podnosić się, Kamilia skończyła swoję robotę, a my przywiązaliśmy koniec liny do statku. Wszystko zdawało się nam sprzyjać; niebo jakby oponą było okryte; wiatr wiał głośno i mocno, szum igrającego morza łączył się z jego świstem. Wgórze nie widać było ani jednéj iskry gwiazdy, a na dole postrzegaliśmy tylko słabe i daleko na przestrzeni morza białe pieniące się bałwany. Była właśnie północ.«

»Z natężoną uwagą poglądaliśmy wzdłuż liny do góry, do miejsca naszego przeznaczenia. Nakoniec zabłysnęło nad głowami naszémi światło, podobne do gwiazdy. To było dla nas znakiem, że wszystko przygotowane; wszyscy więc rzuciliśmy się do liny, aby spróbować, czy mocno jest przywiązana. Lecz lina się nie podawała.«

»Teraz chłopcy! zawołałem, daléj w górę do tego wroniego gniazda! André, ty nam drogę pokażesz, a lubo o żadnym z was z osobna, jak o wszystkich razem, nie wątpię, ja jednak sam będę ostatnim. Jak tylko noga nasza opuści statek, nie podobna myśléć o powrocie. Lecz teraz jeszcze do niczego was nie przymuszam. Kto nie ma ochoty, niech tu zostanie; skoro zaś powyłazicie na linę, nazad żaden z was żywy nie powróci, za to wam ręczę. Jakie bądź niebezpieczeństwo miałoby nas w drodze spotkać, jakiebądź głosy usłyszelibyśmy z góry, koniecznie naprzód iść potrzeba. Oto ten puinał wyostrzony weznę w zęby i natychmiast odetnę linę, skoro najmniejsze mruczenie usłyszę. Przystajecie na to?«

»Zupełnie przystajemy!« odpowiedzieli wszyscy bohatérowie.

»Za mną więc,« zawołał André, »za mną, kto ma ochotę!« skoczył na linę i zniknął w ciemności. Wszyscy żwawo za nim skoczyli jeden po drugim. *Sacré!*

Serce Waszéj Król Mości skakałoby z radości na ten widok! Drapali się w górę, lina się kołysała, morze ryczało — hurrah! Schowałem puinał do pochwy, bo miarkowałem już, że go nie będę potrzebował, a gdy ostatni zstąpił z pokładu, skoczyłem z radości prawie na jego barki.«

(Dokończenie nastąpi.)

DYJALEKTY SŁAWIAŃSKIE.

W nrze 243. Gazety Warszawskiej w artykule pod tytułem: Nowsze prace Szafarzyka, udzielonym redakcyi przez uczonego profesora pa. Hube napomknione było, że niezmordowany badacz języka i starożytności Sławian, pan Szafarzyk, w podziale dyjalektów sławiańskich trzyma się ziomka naszego pana Kucharskiego. Zaspokajając słuszną czytelników naszych ciekawość, jakim właściwie jest ten podział, i czém się od innych różni; umieszczamy następujący o nim samego pana Kucharskiego artykuł: »Wielu już uczonych trudniło się oznaczeniem liczby dyjalektów sławiańskich, tudzież wyszukaniem cech bliższego lub dalszego ich pomiędzy sobą pokrewieństwa. Tymi uczonymi są: Gesner, Megiser, Walwassor, Assemani, Hozyjusz, Banduri, Katanczyc, Frisch, Popowicz, Anton i wielu innych. Z małą atoli znajomością przedmiotu przystępując do rzeczy podali nam tylko fałszywe i bałamutne o niéj wyobrażenia. I tak np: Walwassor i Anton chcieli z saméj tylko modlitwy pańskiéj: Ojcze nasz, wybadać naturę dyjalektów sławiańskich: podług niéj podzielić je i liczbę ich oznaczyć. Ksiądz Dolci samych wschodnio-południowych dyjalektów sławiańskich (illiryjskich) więcéj niż 20 naliczył. Zkąd widać oczewiście, że i najmniejsze odmiany prowincyjonalne za dyjalekty poczytywał. Assemani zaś wystawiał sobie niezliczone mnóstwo dyjalektów sławiańskich. Hozyjusz i Banduri uważali tylko różnicę dyjalektów południowych od północnych. Popowicz, Katanczyc, Schlözer, dzielili je, lub wyliczali podług nazwisk. I tak podług Popowicza, wendisz w Styryi i wendisz w Łuzacyi są bardzo blizkiémi dyjalektami; a podług Katanczyca polski i rossyjski są blizkiémi, bo obiema mówią w dawnéj Sarmacyi i dla tego nawet zowie je sarmackiémi. Schlözer naliczył tylko 9 dyjalektów. Dopiero za dni naszych najsławniejszy filolog sławiański, ksiądz Józef Dobrowsky, podał i upowszechnił gruntowniejszy podział dyjalektów sławiańskich. Dzielą się one podług niego na dwie główne gałęzie, oznaczone głoskami *A* i *B*. Do pierwszéj należy dyjalekt 1) ruski, 2) starosławiański, 3) serbski (illiryjski), 4) kroacki, 5) windycki w Krainie, Styryi i Karyntyi. Do drugiéj zaś: 1) słowacki, 2) czeski, 3) wendycki w górnéj Lauzacyi, 4) wendycki w dolnéj i 5) polski z szlązką odmianą. Starosławiański dyjalekt, mówi Dobrowsky, nic innego nie jest, jak tylko staro-serbski, a mało-rossyjski jest tylko odmianą rossyjskiego. »I ten atoli podział w 5letniéj mojéj podróży po krajach sławiańskich,« mówi pan Kucharski, »znalazłem nie dość wypracowanym i nie dość rozwiniętym, a w części i błędnym. Języki bulgarski i polabski zupełnie w nim są pominione. Pierwszy, ile mi wiadomo, uważał Dobrowsky za prowincyjalizm serbskiego. Drugi, jako już wygasły, nie zostawiwszy po sobie żadnéj literatury, oprócz »Ojcze nasz« i małego zbioru wyrazów, uważał Dobrowsky za mniéj godny uwagi. Ale nas, Polaków, bardziéj ón obchodzić powinien, był to bowiem język polski w obszerniejszém znaczeniu tego wyrazu; bo ón tylko jeden, obok polskiego, miał samogłoski nosowe. Podział mój zasługujący na pochwałę u największego teraz, po ś. p. Dobrowskym, sławiańskiego filologa pana Szafarzyka, jest następujący:

Dyjalekty sławiańskie.

A. *Wschodnie.* Wielkorossyjskie: *a)* Wschodnio-północne: 1) (starosławiański); 2) wielkorossyjski; 3) małorossyjski; 4) bulgarski. *b)* Wschodnio-południowe: Serbski: 1) serbski (illiryjski); 2) chorwacki (kroacki); 3) krainski (Carniolica).

B. *Zachodnie.* *a)* Zachodnio-północne: Polski: 1) polski; 2) (polabski); *b)* Zachodnio-południowe: Czeski: 1) dolnołużycki; 2) górnołużycki; 3) czeski; 4) słowacki,

Z tego podziału pokazuje się: 1. Że dwa główne oddziały A. i B. dzielą się jeszcze na dwa inne podziały, w których się wykazują cztery główne języki: wielkorossyjski, polski, serbski i czeski. 2. Że język starosławiański, czyli cerkiewny, należy do wschodnio-północnych, a nie do serbskiego, jak chciał mieć ksiądz Dobrowsky. 3. Że język rossyjski dzieli się na dwa różne dyjalekty. 4. Że język bulgarski okazał się być osobnym dyjalektem, i należy ze starosławiańskim do wschodnio-północnych, nie dla tego, iżby ich, a mianowicie bulgarskiego, używano we wschodnio-północnéj stronie, lecz, że mają też same cechy, które nosi główny język wielkorossyjski, leżący względem innych we wschodnio-północnéj stronie. 5. Że język polabski, reprezentant całéj zachodnio-północnéj zniemczonéj sławiańszczyzny, najbliższym był polskiego. 6. Że język słowacki czyli słoweński w Karpatach, czyli w północnych Węgrzech, używany, lubo uznany za osobny dyjalekt, głównie atoli jest językiem czeskim; stanowi ón przejście, jako ostatni w swym szeregu, oddziału B. do A., tak, jak kraiński (w Krainie czyli Karnijolii, Styryi i Karyntyi używany), stanowi znowu przejście oddziału A. do B.

Dolno i górno-łużycki nazywają się po niemiecku *nieder- und oberlausitzisch-wendisch*. Lud zaś, który nim mówi, zowie go serbskim. Umieszczone zaś przed czeskim, że są pośrednie między polskim i czeskim.

Wszystkie dyjalekty sławiańskie po jednym można rozpoznać wyrazie *rodzony*: 1) W starosławiańskim *rożden*; 2) w wielkorossyjskim *rażon* (tak bowiem mówi lud prosty); 3) w małorossyjskim *rożyon*; 4) w bulgarskim *rodżen*; 5) serbskim *rodien* (*d* miękkie); 6) w chorwackim *rodjen*; 7) w kraińskim *rojen*; 8) słowackim *roden*; 9) w czeskim *rozen*; 10) W gornołużyckim *rodzion*; 11) w dolnołużyckim *rozion*. 12) w polabskim *rodzion*; 13) W polskim *rodzon*. Który dyjalekt polskiego najbliższy? Właśnie narody, które są najbliższémi Polaków, mówią i najpodobniejszémi do ich mowy dyjalektami. A wszakże to rozumie się o narodach zachodnich, do których i Polacy należą. Najpodobniejszym więc dyjalektem do polskiego jest język dolnołużycki, po nim słowacki i inne zachodnie. Ze wschodnich najbliższym małorossyjski, z południowych kraiński, ale co do czystości wymawiania chorwacki.«

(Gaz. War.)

Machina rachunkowa pa. Babbage. Ze wszystkich temi czasy wynalezionych machin, machina rachunkowa jest bez wątpienia najgodniéjszą uwagi. Zdawna już znanémi były podobne mechaniczne pomocy do szczególnych arytmetycznych działań, lecz te nie mogą iść w porównanie z jenijalnym planem, obmyślonym i prawie zupełnie wykonanym przez pa. Babbage. Pomimo całego przekonania o dzielności mechaniki, wielu światłych czytelników z trudnością zapewne przypuści, iżby astronomiczne i żeglarskie tablice jedynie za pomocą mechanizmu ze ścisłością dały się wyliczyć, iżby machina własne swoje błędy poprawiała, i wypadki swoich obliczeń, z całą dokładnością, bez pomocy rąk i głowy człowieka, sama drukowała. Wszystko to jednak wspomniona machina odbywa. Autor téj wiadomości był świadkiem jéj działań, i razem z wynalazcą rozebrał jéj budowę. Składa się z dwóch części, jednéj liczącéj, drugiéj drukującéj. Obiedwie są potrzebne, gdyż cała korzyść zginęłaby, gdyby wypadki rachunku ludzką ręką były kopijowane i zwykłym sposobem odbijane. Potrzeba było kosztownych i zawikłanych narzędzi, aby wykonać składowe części apparatu, do żadnéj innéj mechanicznéj konstrukcyi nie przypadające. W tak dziwnie splątanym mechanizmie (koła same zajmują przestrzeń 400 stóp kwadratowych przechodzącą), w którym ciągłe ruchy rozmaitym pędem są utrzymywane, należałoby domyślać się częstych przestanków i zawad, gdyż niepodobna przewidzieć kombinacyj; lecz tym wątpliwościom zapobiega wynaleziony przez pana Babbage systemat znaków, które w każdéj chwili postęp odbywającego się ruchu dokładnie wyrażają. Drukarska część w téj machinie z tego względu jest zadziwiająca, iż tablica, przeznaczona do przyjmowania odcisków, sama

odbywa poruszenia do tego potrzebne. Praktyczny cel machiny rachunkowéj zależy na wyliczaniu i drukowaniu rozlicznych i wielkich astronomiczno-żeglarskich tablic, które bez trudnéj pracy umysłowéj i ręcznéj nie dają się wykonać, a nawet i przy téj pracy nie są bezbłędne. Dla matematyków, astronomów i żeglarzy pożytek z téj machiny będzie jawny; dla innych warto przypomnieć, iż rząd francuzki wielkim kosztem kazał sporządzić 17 ogromnych tomów arkuszowych, zawiérających same logarytmów tablice, i że rząd angielski, wysoko ceniąc tę robotę, przełożył francuzkiemu *Bureau des longitudes* wspólnym nakładem wydać skrócenie tego dzieła, postępując na to 5,000 ft. sztrl. Oprócz taniości i prędkości z jaką machina działa, zasługuje jeszcze na uwagę zupełna dokładność wydrukowanych wypadków. Za pomocą szczególnych sposobów, każda omyłka, którą kurz lub inna drobna przyczyna mogłaby sprawić w jednem kołku, zaraz się w następném prostuje.

— Ze Lwowa. —

Pismo wiedeńskie: *Oesterreichisches Archiv* i t. d. (w nrze 140. z d. 22. listop. r. b.) umieściło wyjęte z dziełka: *J. C. S. remarquable historische Briefe* (1694) sonet, napisany w języku niemieckim do króla Jana Sobieskiego, który tu w przekładzie przytaczamy:

Bohaterze! któremu sprzyjają wawrzyny,
Z jakiemże szczęściem tyle uzyskałeś chwały!
Na twoje wielkie dzieła patrzy swiat zdumiały,
I jak cud niepojęty uważa twe czyny.
Nie przestan butnym wrogom zadawać ruiny,
Niech zwycięzko powiéwa twój sztandar wspaniały;
Bóg toruje ci drogę przez szańce i wały,
I nawet piekieł tobie nie oprą się syny.
Znają cię psy pogańskie, bohatérów gwiazdo!
Pod Chocimem raz piérwszy starłeś ich szeregi,
Teraz powtórnie zbici; twą zwycięzką jazdą
Wyprzesz ich ze Stambułu za dalekie brzegi;
Już nawet mówią, chyląc swoje dumne czoła:
Nikt Bogu i królowi oprzéć się nie zdoła.

Pan Józef Łukaszewicz, dyrektor księgozbioru Raczyńskich w Poznaniu, wydał tamże dzieło: Wiadomość historyczna o dysydentach w mieście Poznaniu w XVI. i XVII. wieku, porządkiem lat zebrana. Ogólna historyja dysydentów w Polszcze, wiadomość o ich zakładach naukowych, o mężach, którzy dziełami umysłu świetnieli w ich gronie i t. d., byłaby nader pożądaną, ileże przedmiot ten nie jest jeszcze bynajmniej dostatecznie wyjaśniony, a dawniejsi, szczególnie Niesiecki, umyślnie przez nagauną gorliwość stronniczą opuszczali go z obrębu badań swoich.

Dnia 24. listopada r. b. odbyło się w Wrocławiu w tamecznym kościele ś. Wincentego pochowanie ziemskich szczątków Henryka II., księcia wrocławskiego, potomka rodziny Piastów, założyciela tego kościoła i poległego w walce z Tatarami. Złożono zwłoki jego w nowo-wystawionym pomniku, a uroczystość ta rozrzewniła prostotą swoją licznie zgromadzonych Szlązaków. Dosyć dobrze utrzymały się szczątki tego książęcia.

Dotąd jeszcze wielu żyjących w kraju naszym przypomina sobie dowcipy Kossakowskiéj, z domu Potockich, znanéj powszechnie pod tytułem kasztelanowéj kamińskiéj. Cesarz Józef II. podczas każdéj bytności swojéj w Galicyi, zaszczycał ją swojemi względami i nie raz zdumiewał się nad jéj dowcipem. Następujące anegdoty z jéj życia nie są, zdaje nam się, powszechnie znajome, przeto je tutaj umieszczamy: Król Stanisław August był jéj winien kilka milijonów. Mówiono jéj, że łatwo takowe stracić może. „Nie lękam się tego wcale," odpowiedziała. „Jeżli utrzyma się na tronie, to będzie w stanie oddać mi dług mój, gdyby się zaś nie utrzymał, to gotowam mu tyle drugie darować." — Cesarz Józef rzekł raz do niéj: „Poznałem waszego króla Stanisława w Kaniowie, mówi pięknie rożnémi językami, a szczególnie po polsku mowić ma wysokim stylem." — „O bardzo wysokim," odpowiedziała kasztelanowa, „tak, że go już od lat siedmiu nie rozumiémy."

Jeżewski, kasztelan warszawski, od króla Zygmunta I. w poselstwie do Moskwy posłany, zwrócił na siebie podejrzenie cara, jakoby miał listy do Glińskiego. Chcąc, ażeby się przyznał, kazano mu w oleju smażyć nogi, lecz mimo najokropniéjszéj boleści milczał i ani słowem nie wydał tajemnicy. (Paprocki.)

Nie dawno umarł w Warszawie były szambelan króla Stanisława Augusta, Niewiesciński, mający blizko lat sto.

Po między dziełami sławiańskiemi lat ostatnich godne jest ze wszech miar wspomnienia dzieło uczonego Sławianina Jana Kollara, traktujące: O imionach, początkach i starożytnościach narodu sławiańskiego i jego pokolenia wydane w Budzie r. 1830. Między innémi opiéwa także o imieniu: Polak, Polach, Liach, Lengyel i t. d.

Pisma węgierskie wspominają z wyszczególnieniem trzech sławnych mowców swojego narodu: Pawła Nagy, deputowanego z Telsö-Bük, hrabię Józefa Dessoeffy i Tomasza Ragályi, deputowanego z komitatu borszodzkiego. O Nagym pisze uczony Węgier, dr. Rumy, że z zapałem Demostenesa, otwartością Broughama, Humego i O'Connela, z przyzwoitą wolnomyślnością Odilon-Barrota łączy świetną wymowę Cycerona.

W jednem z dzieł Washingtona Irwinga: „Rysy moralności i literatury" czytamy następujące myśli o święcie Bożego Narodzenia, które tutaj umieścić poczytaliśmy sobie za obowiązek: „Ze wszystkich starodawnych uroczystości Boże Narodzenie obudza w nas najwznioślejsze myśli. Jest coś w uciechach dnia tego, co rodzi w duszach naszych nieporównane rozkosze; obrzędy kościoła zdolne są w dniu tym, bardziéj niż kiedy, natchnąć najtkliwszém uczuciem; opierając się na wspaniałém podaniu o początku wiary i na widowiskach pastérskich, które chwili zwiastującéj ją światu towarzyszyły, nabiérają przez ciąg adwentu coraz więcéj czułości i mocy, aż nakoniec w dniu samym Bożego Narodzenia całą swą wywiérają siłę dla uświęcenia tego świetnego poranku, który ludziom pokój i szczęśliwość przynosi. Nie znam żadnéj muzyki, któraby mocniéj na usposobienia moralne działała, jak chór i organy, gdy wykonywają w kościele antyfonę Bożego Narodzenia, napełniając poważną harmoniją całą przestrzeń rozległéj budowy. Pierwastkowym też czasom winniśmy tę myśl szczęśliwą, że święto, przypominające przyjście religii pokoju i miłości, stało się epoką, w któréj krewni zgromadzając się w jedno miejsce, z rozkoszą wzmacniają ten węzeł, jaki różne obowiązki, zatrudnienia i rozrywki świata ustawicznie rozerwać usiłują. Cóż milszego nad tę chwilę, w któréj wszystkie dzieci jednéj rodziny, rozbiegłe po przestworze świata, zgromadzają się raz jeszcze około ojczystego ogniska, gdzie się wszystkie zléwają uczucia i tam, śród ulubionych dzieciństwa swego pamiątek, kosztują znowu uciech miłości i przywiązania."

* * *

W warszawskim szpitalu, wyznania mojżeszowego, znajduje się Izraelitka, mająca lat 105; przytomność jéj umysłu jest zadziwiająca, pamięta dokładnie zdarzenia od lat blizko stu i opowiada je z szczegółami.

W zbiorze „bul serafinów" znajduje się między innémi bula papieża Urbana VIII., w któréj tenże „czyniąc zadosyć słusznym skargom kapituły katedralnéj w Sewilli," wyklął tych wszystkich, co w kościele tabakę zażywają.

Jeden szynk piwny w Budzie (w Węgrzech) ma szczególniejsze godło, nazywa się bowiem: Pod słownikiem konwersacyjnym.

Mineralogowie i badacze natury dociekli, że człowiek tyle ma żelaza we krwi swojéj, iż z 82 ludzi możnaby zrobić całą szablę. Ktoby był więc sądził o tém, żeś my zdatni do fabryki broni.

W wiekach dawniejszych była pisomania także bardzo rozgałęziona i ludzie, chciwi sławy pisemnéj, obiérali często dziwne przedmioty do opisów; tak Filander pisał pochwałę pchły, Marcion Graecus pochwałę rzodkwi, Pitagoras czosnku; Chryzyppus z Calo opiéwał kapustę, Fanias bodaki. Arystomachus Solensis badał naturę much i po mozolnych postrzeżeniach przez lat 60 czynionych przekonał się nareszcie, ile razy w jednéj minucie pchła skoczy. Fryderyk Nicolay z Berlina pisał o dawności peruk, labo już przed nim Rango traktował o tym samym przedmiocie. Profesor Joachim z Halli pisał o brodzie elektora Joachima 1.; sławny Camper ułożył rozprawę o trzewiku, a niejaki prof. Juris pisał o wyrazie *et caetera*.

Okazuje się ze zdania sprawy ministeryjum greckiego do kongresu, że Grecy w roku upłynionym mieli 2,941 okrętów kupieckich na morzu.

Nowinki z teatrów paryzkich są następujące: W teatrze *Porte St. Martin* grano: *Le maraudeur;* w *Varietes: Le jour gras de* 1760; w *Vaudeville* melodramat Ancelota: *Anne d'Autriche*; w *Gaite: La peau de chagrin*, podług powieści Balzaca; w *Gymnase dramatique: Toujour! ou: L'avenir d'un fils*, krotochwilę w 2ch aktach panów Scribe i Warner. Dzieło dramatyczne: *La republique, l'empire et les cent jours* zaraz w piérwszym miesiącu zrobiło dochodu 117,230 frank. 30 cent.

Grzeczność Paryżanów dla kobiet jest tak dalece wygórowana, że w modnéj operze-baletniczéj *la Tentation* nie mogli żadnym sposobem znieść tego pomysłu, iż diabeł z rozmaitych ingredyjencyi, jak czarownice w „Makbecie" swoje czary, utwarza piękną kobiétę, i w dalszych przedstawieniach téj opery, scenę tę musiano zupełnie opuścić.

W Bordeaux rozprawiają wiele o roślinie *huacou*, nadesłanéj nie dawno z Mexyku, któréj z wielkim skutkiem przeciw cholerze używać miano. Jeden z aptékarzy tamtejszych analizował tę roślinę i znalazł w niéj olej, któremu przypisują właściwie moc léczenia. Kilka kropel oleju tego, danych na cukrze, wraca nowe życie pulsom już prawie stygnących chorych. To nowe lekarstwo wyłącznie teraz prawie zajmuje uwagę lekarzów w Bordeaux.

Pan Schaumburg z Geubertheim w Alzacyi ogłosił w *Courier du Bas-Rhin*, z d. 8. sierpnia r. b. następującą metodę, podług któréj w okolicy jego moczą len i konopie, a któréj sam z korzyścią używał. Len i konopie kładzie się w poźnéj jesieni na pola, gdy już z takowych zebrano i nim śniég upadnie, a zwłaszcza poprzek bruzd. W tym stanie zostawia się je przez całą zimę, ażeby przez odwilż, która zwyczajnie trafia się kilka razy w zimie, wymokły. Moczenie lnu i konopi odbywa się tym sposobem doskonale i bez rozszérzenia szkodliwych wyziewów; przy tém len i konopie, tym sposobem moczone, zaczynają się już cokolwiek blichować, co o wiele ułatwia poźniéjsze onychże blichowanie. Dziwować się należy, dla czego dawno już tym sposobem nie czyniono doświadczenia, ileże każdy tak łatwo mógł się o tém przekonać, znajdując na wiosnę łodygi rozmaitych roślin, przez zimę na śniég i dészcz wystawione, zupełnie wymoczone na polach.

W Paryżu niedawno złapano złodzieja, który nic więcéj nie kradł przez cały dzień, gdy już miał wartość 12 frank.; stosownie do téj kwoty miał ułożony budżet na codzienne wydatki, t. j: jedzenie, mieszkanie, odzież i t. d., dwa razy w tygodniu bilet na teatr, a nawet codziennie 4 *sou* na wsparcie ubogich; tak regularnie żył przez lat 18cie i był uważany jako człowiek grzeczny i uczciwy; najczęściéj udawało się mu wyciągnąć jakie rzeczy z kieszeni w tłoku w izbach sądowych, na parterze, lub przypatrującym się ciekawym rycinom. Nigdy na niego nie padło podejrzenie o kradzież, lecz wyśledził go inny złodziéj w chwili, gdy obadwa razem sięgnęli do kieszeni starego eleganta, lorynetującego młodą śliczną panienkę.

Zakładają w Londynie wiszącą kolej żelazną pomiędzy starem miastem Londynu (City) i portem Greenwich, ponieważ ciągła komunikacyja tym gościńcem i owe po nim mnóstwo przechodniów kolej żelazną na saméj drodze niepodobną do wykonania czynią. Koleje z szyn żelaznych mają być umocowane na słupach i łukach, tak, że gościniec, po wyżéj którego ciągnąć się będą, zupełnie wolnym zostanie. Towarzystwo utworzone w celu założenia téj powierzchniéj drogi złożyło już na cel ten 400,000 funt. szterl., i drogę tę, która ciągnąć się będzie przez 4 mil. angiel. łatwo będzie można w powozie parowym odbyć za ośm minut.

Pięć siostr z Wellington w Anglii, które w swojem mieście ojczystém na żaden sposób za mąż pójść nie mogły, popełniły kradzież w zamiarze, by za karę odesłane zostały do Botany baj, gdzie spodziewają się znaleźć prędzéj mężów dla siebie.

Cukier jest nie tylko przyjemną zaprawą do potraw, szczególnie do owoców, lecz oraz bardzo zdrowym i pożywnym pokarmem. Dr. Slare przywodzi za przykład niejakiego Malory, który jadł wiele cukru, żył prawie lat 100, ciągle był zdrowym i w roku 80tym nowe zęby dostał. Sławny Franklin chwali także cukier i korzystne onegoż własności; jadał go równie wiele i żył lat 84.

Jeden z dowcipnych tegoczesnych autorów niemieckich (Richard Roos) porównał w ten sposób życie prywatne z życiem publiczném: „Tronem moim" powiada, „jest mój stolik, przy którym pracuję i rozmyślam, moim współrządcą jest małżonka, moimi kochanymi poddanymi są moje dzieci, naszą konstytucyją jest miłość wzajemna, naszym budżetem są dochody, zastosowane do wydatków, wspólne zaufanie jest naszym ministrem spraw wewnętrznych, oszczędność naszym ministrem skarbu, słuszność i powinność ministrem sprawiedliwości, domowa pobożność ministrem wyznań religijnych; lecz nié ma u nas ministeryjum wojny, gdyż pokój w naszym domu i sercu panuje, nié ma ministeryjum spraw zagranicznych, bo nie bawimy się wizytowémi plotkami. Zaufani przyjaciele sąto nasze stany, a wyborem na członka tych stanów trudni się tylko głowa i serce; nie znamy atoli systematu dwóch izb, nie znamy parowstwa, ani rozpraw publicznych. Zgoła, w mojem państwie nie podobną jest rewolucyja i wszystko odbywa się duchem polityki, ustalonéj na miłości i zgodzie."

M O D Y.

Płaszczyki damskie są lub jasnego koloru w kwiaty, takie same jak podszewka, lub ciemnego z girlandą kwiatów w około peleryny i u dołu. Z tych jedne robione są z dwoma pelerynami takiego jak podszewka koloru i z długim kołnierzem, drugie z samym tylko długim kołniérzem, wycinanym w zęby. Kapelusiki, które przez niezmierną małość swoję już śmiesznémi stawać się zaczęły, robią teraz cokolwiek większe. Najmodniejsze są z pąsowego aksamitu z białém piórem i z czarnego aksamitu podszyte wiśniowym kolorem, z piórem tych obu kolorów; noszą także kapelusiki z błękitnego atłasu, podszyte czarnym aksamitem i czarném piórem ozdobne. — Płaszcze męzkie w kratki (kadrylowane) z długiemi kołniérzami.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.